

## Beata Patrycja Klary

### *comploratio* – oplakiwanie

#### I

Dzwoni telefon: ojciec nie żyje. Pilno mu było usłyszeć historię Szangri-La. Miasta pajaków zatrzymujących czas na swoich delikatnych krocach. Tak białych jak jego gołe stopy, na których wybrał się w drogę. Wszystko tam jest zamknięte: *zawsząd góry, glazy, z nisko na nich wiszącym niebem*. Dużo wolnego czasu. Wolność wolno płynąca jak proces wietrzenia skał, a może

raczej gliny, bo teren pod miastem nieurodzajny. Jest nisko na dwa i pół metra. Bez codziennej gazety, choć na upartego można przynosić świeże wieści. Ktoś przecież postawił pozytywkę. W końcu bateria się wyczerpie i będzie spokój, a z nim niechętnie starzenie, może nawet odpoczynek. Muszę tylko pamiętać: nie wolno wrywać chwastów. To idzie z korzeniami.

#### II

Przyjęło się, że worek jest czarny, a tobie wybrali jasny w odcieniu mleka z miodem. Właśnie takie lubiłeś koszule, jak ta na zdjęciu w dowodzie. Wolno mi go zatrzymać, bo górny prawy brzeg nacięty. Formalności bołą, ale w końcu są trąbki i organista. Wyjątkowo ładnie. Zupełnie nie tak jak w innych polskich miastach. Piętnaście minut i po sprawie. Zupełnie nie tak jak w innych zagranicznych miastach, choćby w *Eden Memorial Park* w Los Angeles, gdzie nieboszczykom przeszkadzają kosiarki. Normalnie.

Zimno jest czasem tak mocne, że nie sposób go opisać. Welinowy puder ma zakryć zmianę koloru, ale paznokcie zdradzają wszystko. Umarłeś.

**exordium – wyjawienie przyczyny bólu**

**I**

Zaczyna się dzień, w którym coś powinno się stać. Barometr w górnych rejestrach, a moje trzydzieści cztery jest inne niż twoje trzydzieści pięć, choć lata są sercem każdego kadłuba. Nie żyje Czesław, nie żyje Zbychu, Rysiek i nie żyje wielu, wielu innych. Szalonego Fredka nikt z nas dawno nie widział. Pewnie nie żyje. Jesteśmy materia, dlatego lepiej jest malować latem, gdy płaszczyzny są rozgrzane i farby też, a umierać zimą. *Kto kocha*

*kobiety, Bóg jest w nim*, więc na YouTube podglądam Bellucci. W moim scenariuszu spaceruje żarózwiona w promieniach niewidzialnego jeszcze słońca. Pramatka i kochanka przyszłości. Nie wiem co ewentualnie wypada, lub czego nie wypada pisać, ale im wolniej rozstawia nogi, tym szybciej oddycham. Wysysam jej miękkość, jak pasożyt skorupę ślimaka. Kończy się dzień, w którym coś powinno się stać. Dzwoni telefon: ojciec nie żyje.

**II**

Zegar spada ze ściany. *Oby tylko nikt nie umarł* – mówi najbliższa z rodziny o dwudziestej pierwszej z minutami. Wszystko wraca na swoje miejsce, tylko niepobita szybka zastanawia. Dzwonek w telefonie tym razem jest niepokojący. Zaraz potem krzyk, pogotowie, taksówka. Przekładają ciebie z linoleum na łóżko. Przykrywam kocem, choć mówią, że to bez sensu, ale światła nie pozwalają zgasić. *Później już zawsze będziesz leżał w ciemnym.*

Nie mam siły na świecę, przecież jesteś w swoim ulubionym podkoszulku. Najspokojniej z nas przyglądasz się zamieszaniu, a my nie wiemy dlaczego. Zgaszony telewizor, odłożone okulary i ślady walki z samym sobą. Zdaniem doktora przybliżony czas zgonu dwudziesta pierwsza z minutami. Czteryście kilometrów dalej niepobita szybka zastanawia. Nic jeszcze o tobie nie wiedzą. Zadzwoń rano. Niech śpią. I ja przecież jeszcze nie wiem o pożegnaniu.

**III**

Gdyby chociaż jakaś szpitalna epikryza. *Carcinoma solidum* zatwierdza pewien wyrok i można się wtedy przygotować, choć i tak wiadomo, że przygotować się nie da. Dobry obiad, jeszcze lepsza kawa i: Przypomnij mi, żebym jutro zadzwonił do Zosi. Przecież to zimna zośka, a potem

będzie już ciepło. Kraciasty koc – uparcie do tego wracam – przytula. Ja nie mam śmiałości. Przeczesać jedynie włosy, jakbym już była pewna, że to i tak nie ma znaczenia. Nic innego nie mogę zrobić. Rano zanoszę wyprasowany garnitur, buty i różaniec, żebyś miał coś tylko ode mnie.